

Judyta Rykaszewska

Srebrna nieśmiertelność

Zmiana światła na zielone zmusiła mnie do ruszenia się z miejsca. Krok za krokiem. Szybki rzut oka na zegarek - za pięć ósma.

Staram się iść szybciej. Jakiś chłopak mija mnie, biorę ostatni wdech styczniowego powietrza i wskakuję przez jeszcze otwarte drzwi. Spoglądam na zegarek nad wejściem - za trzy ósma.

Wchodząc do holu, spoglądam na ludzi zupełnie nieświadomych prawdziwych wydarzeń zeszłego tygodnia. Mój wzrok wędruje ponad schody na pustą ławkę pod mozaiką.

Ogarnia mnie melancholia.

- Matyllda – głęboki głos wyrwał mnie z zamyślenia – dobrze cię znów widzieć. Czy mogłabyś przyjść do mnie, gdy już skończysz zajęcia? Myślę, że musimy wyjaśnić kilka spraw.

- Przyjdę – odpowiadam, pozwalając, by nasze spojrzenia przez chwilę się spotkały.

Odwracam się i idę pod klasę.

Mówiłam, że nie chcę tu wracać.

- Więc temat mamy skończony. Życzę miłego weekendu.

Podniosłam się i wrzuciłam wszystko z mojej części ławki do torby. Wraz z tłumem opuszczam salę. Nagle w całej szkole rozbrzmiewa dzwonek kończący lekcję. Jak zwykle zbyt głośny. Nogi same niosą mnie schodami w dół. Pod mozaikę. Tam, gdzie wszystko się zaczęło.

Siedząc na ławce, zastanawiam się, jak to możliwe, że On coś w niej widział. Żółte, białe, czarne, niebieskie i czerwone kawałki kafelków oddzielone szarymi liniami. Popękane i jednocześnie stanowiące jedną, dość zagadkową całość. Większość uczniów nawet tego obrazu nie zauważa lub twierdzi, że po prostu jest zbyt tajemniczy, by zajmować sobie nim głowę.

- On go zrozumiał, prawda?

Aż podskoczyłam. Rozejrzałam się i zauważyłam, że już po dzwonku. A człowiek, który tak mnie przestraszył, to pan Edward.

- Zobaczył w tej mozaice coś niezwykłego – kontynuował. – Powiedział ci kiedyś, co w niej dostrzegł?

- Tak – uśmiechnęłam się, przypominając sobie tę rozmowę. – Mówił, że jest w niej trochę szczęścia i smutku, trochę czarnego bólu

i żółtej radości... Jedno z miejsc jest bardziej wypukłe, a tam u góry brakuje kawałka obrazu. Pan wie, co to oznacza? Sądzi pan, że on wróci?

- Oboje znamy odpowiedź na to pytanie, Matyldo.

Podniósł się ciężko i powoli schodził po schodach. Nie musiał się oglądać – wiedział, że za nim pójdę. Jeszcze raz spojrzałam w róg tego obrazka, w miejsce gdzie był trójkątny ubytek w całej układance - identyczny jak mój wisiorek.

- Napijesz się herbaty? – spytał, gdy przekroczyłam próg jego kuchni.

Rozejrzałam się po małym pomieszczeniu. Zauważyłam, że jest o połowę węższe niż szkolne korytarze; pod ścianą stoi kuchenka, kilka szafek i krzesła, a na samym końcu łóżko. Zdziwiłam się. Ostatnim razem było tu mnóstwo próbówek i fiolek. I jeden wielki bałagan. I schody w dół. Dziś w ich miejscu stała szafa.

- Poproszę – odpowiedziałam, siadając na łóżku. – Co chciałby pan wiedzieć?

- Chciałbym cię prosić, żebyś mi opowiedziała o swojej znajomości z Adamem. O tym, co się wydarzyło tydzień temu...

- Dlaczego pan o to prosi? Przecież to pan od lat obserwuje tę szkołę. Pan wie o wszystkim.

- Chcę znać twój punkt widzenia. Chcę wiedzieć, dlaczego Adam ze wszystkich uczniów naszej szkoły wybrał właśnie ciebie. I pomóc ci zrozumieć, co chciał osiągnąć, spotykając się z tobą. – Podał mi herbatę i usiadł na krześle naprzeciw mnie. - Ale żeby to zrobić, muszę usłyszeć tę historię od ciebie. Wiedzieć o tym, co widziałaś, słyszałaś, myślałaś, a najważniejsze, co czułaś. Rozumiesz mnie?

Oparłam głowę o ścianę. Wzięłam głęboki wdech i przymknęłam oczy. Chciałam zobaczyć to, o czym on mówił, raz jeszcze to poczuć.

- Od czego mam zacząć?

- Najlepiej od początku.

Pamiętam, że już kilka tygodni po przyjeździe do liceum moją uwagę przykuła osoba siedząca na ławce pod mozaiką. Chłopak był zawsze sam, zawsze wpatrzony w tę samą ścianę. Nigdy się nie uczył, na nikogo nie patrzył ani nikt nie patrzył na niego. Przynajmniej wtedy tak mi się zdawało. Zaintrygował mnie.

Pewnego dnia specjalnie spóźniłam się na lekcje tylko po to, by wiedzieć, gdzie on ma zajęcia. I tak dowiedziałam się, że jest o rok starszy niż ja. Po zdjęciach klasowych sprawdziłam, że nazywa się Adam Milczański. Szukałam go na Facebooku, w Internecie, ale jedynym miejscem, w którym mogłabym się czegośkolwiek o nim dowiedzieć, była ławka pod mozaiką.

Pewnego dnia zebrałam się na odwagę i przyszedłam wcześniej. Usiadłam na jego ławce i z lekkim niepokojem czekałam. Byłam ciekawa, jak zareaguje, czy spróbuje mnie wygonić, czy odpuści i sobie pójdzie. To był czwartek, 7 stycznia.

- Co widzisz?

- Słucham?

Odwróciłam głowę. Stał stopień niżej. Niezbyt wysoki, dość chudy, z przydługimi blond włosami. Po raz pierwszy zauważyłam, że patrzy na innego człowieka. I to na mnie.

- Pytam o ten obraz. Co w nim widzisz?

- Myślę, że potrzeba więcej czasu, by na to odpowiedzieć. – Nasze spojrzenia się spotkały. – Stanowi pewną całość, ale jest zbyt tajemniczy, by pojąć jego sens. Potrzeba czasu, by poznać ten sekret. Ale ty go znasz, prawda?

- Widzisz ten trójkąt u góry? Ten srebrny? – spytał, siadając obok. – On tu nie pasuje. Jako jedyny ma taki kolor. I jest mniejszy. Wyróżnia się.

- Ale tylko ty to zauważyłeś.

- Nieprawda – uśmiechnął się. - Ty też.

Moje serce przyspieszyło. Miał zabójczy uśmiech. Mój oddech przyspieszył, gdy zrozumiałam, że on wpatruje się we mnie. Jak drapieżnik w swoją ofiarę. Chciałam uciekać, ale jeszcze bardziej chciałam zostać. I pozwolić mu się pożreć.

Dzwonek wzywający na pierwszą lekcję wstrząsnął murami szkoły, uwalniając mnie od tego dziwnego uczucia. Podniosłam się.

- Mogę przyjść tu na następnej? – spytałam, gdy dzwonek ucichł.

- Bałam się, że już nie zapytasz – odparł i znów obdarzył mnie tym swoim uśmiechem.

Moje nogi były jak z waty. Nie mam pojęcia, jak udało mi się zejść po schodach, wiem jedynie, że idąc pod klasę, czułam na sobie jego spojrzenie.

Całą lekcję polskiego spędziłam, będąc myślami setki kilometrów od szkoły. Próbowałam rozgryźć, jak to możliwe, że jedna osoba może mieć na mnie taki wpływ. Nigdy wcześniej się tak nie czułam. Na samą myśl, że mam się z nim spotkać, czułam skurcz w żołądku. Najgorsze było to, że spędziłam z nim mniej niż trzy minuty, a doprowadził mnie do takiego stanu, że skupienie się na lekcjach był wysiłkiem, który zaczął mnie przerastać. Czułam się tak po raz pierwszy w życiu.

Dzwonek na przerwę okazał się błogosławieństwem. Ucieszyłam się, że moja koleżanka z ławki ma dzisiaj wizytę u lekarza, inaczej musiałabym jej wyjaśniać, dlaczego na przerwach nie jestem pod klasą. Nogi same zawiodły mnie pod mozaikę.

On już tam był. Wstał, gdy mnie zobaczył i tym prostym ruchem doprowadził moje serce do szaleństwa.

- Kim jesteś? – pytanie wyrwało mi się, gdy siadał obok mnie.

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

Jego słowa, wahanie w głosie i świdrujące spojrzenie odebrały mi oddech. Moje myśli po prostu uciekły. Nie byłam w stanie powiedzieć słowa.

- Ta bajka jest długa, a przerwa zbyt krótka – potarł dłonią kark. – Nie przychodź na następnej. Naucz się na kartkówkę. Spotkamy się na długiej pod szatniami, OK?

Opuścił dłoń i bezwiednie przykrył nią moją. Przeszył mnie dreszcz. Przeszło mi przez myśl, że to musiałyby być cudowne uczucie zanurzyć dłonie w jego włosach. Zadzwonił dzwonek, uczniowie mijali ławkę, jakby nas nie widzieli. A on wciąż czekał na moją odpowiedź.

- Przyjdę.

Lekcje minęły zbyt szybko. Mimo że próbowałam się uczyć na przerwie, sprawdzian nie poszedł mi najlepiej. Ważniejsze od rodzajów trzęsień ziemi czy typów wybrzeży okazało się rozstrzygnięcie tego, jak to możliwe, że on w ogóle istnieje. I czy powinnam mu ufać. Wprawdzie zaczęłam z nim rozmawiać dopiero dzisiaj rano, jednak miałam wrażenie, jakbym znała go od zawsze. Jakiś siódmy zmysł dawał mi niejasne znaki, że ten człowiek jest niebezpieczny. Ale świadomość, że działa na mnie tak, jak nikt inny, doprowadziła do tego, że po dzwonku zbiegałam jak szalona po schodach.

Adam już tam był. Uśmiechnął się do mnie i zabrał mi plecak. Położył go pod ścianą, gestem poprosił o zachowanie ciszy i dał znak, żebym szła za nim. Tak po prostu wszedł do kantorka sprzątaczek. Rozejrzałam się, ale w środku było pusto. I wtedy w słabym świetle pomieszczenia zauważyłam schody. W dół.

W szkole na każdym piętrze wisi schemat pomieszczeń. Ale planu tego, co jest pod szkołą, nigdzie nie widziałam.

Po kilku stopniach w dół zrobiło się ciemno. Zapaliłam latarkę w telefonie. Schody były kamienne. Ściany też. A im niżej schodziłam – tym zimniej się robiło. Chłopak zatrzymał się, ściągnął bluzę i podał mi ją. Zaczekał, aż ją włożę i ruszył dalej.

Nagle schody się skończyły. Znajdowaliśmy się w jakimś tunelu. Otaczał mnie zimny kamień i złowroga cisza. Coraz mniej mi się to podobało i gdyby nie powadził mnie ten blondyn, z pewnością już by mnie tu nie było. Adam zwolnił, a ja zauważyłam światło na końcu korytarza. Zgasiałam latarkę. Nim się zorientowałam, znalazłam się w wielkiej sali. I ogarnął mnie lęk.

Na środku pomieszczenia leżał idealnie biały szkielet zwierzęcia. Jego czaszka przypominała dużego dinozaura. Bardzo dużego dinozaura o bardzo długim pysku i dwóch rogach. Nie mogłam oderwać od niego wzroku.

Zdawał się lśnić, błyszczeć jakby własnym światłem. Za czaszką zauważyłam żebra i dwie łapy, każda z nich była zakończona pazurami większymi od mojej głowy. Resztę szkieletu zasłaniały wielkie, zniszczone skrzydła.

- Czy to...

- Smok? - dokończył za mnie Adam. - Tak, to smok. W średniowieczu, gdy zabicie go było dowodem odwagi, martwego stwora ukrywano w jaskiniach, na których budowano świątynie. W miejscu, gdzie odbył się pojedynek rycerza z potworem, odbywały się turnieje rycerskie. Stąd nazwa pobliskiego osiedla Turzyn.

- Co on ma wspólnego z tobą?

- Ona. To smoczyca - podszedł bliżej i objął mnie. - Miała jajo. Wiedziała, że ludzie będą chcieli je zniszczyć, więc rzuciła na nie zaklęcie. To, co znajdowało się w jaju, zostanie wchłonięte w pierwszego człowieka, który znajdzie się w jego pobliżu. W ten sposób zapewniła swemu dziecku życie.

- Do czego zmierzasz?

Usłyszałam jakiś dźwięk. Ktoś się zbliżał.

- Musimy cię gdzieś ukryć - wyszeptał wpatrując się w coś poza mną. - Chodź.

Złapał mnie za rękę i poprowadził w głąb pomieszczenia. Tam dostrzegłam źródło światła. W miejscu, gdzie powinno być serce stwora, znajdowało się ognisko. A po bokach ścian ustawione były lustra, dzięki czemu było tu tak jasno.

- Dasz radę tam się schować? – spytał, przykucając przy jednym ze zwierciadeł.

Ściągnął T-shirt, położył na ziemi i spojrzał na mnie wyczekująco. Wcisnęłam się w szczelinę za lustrem, siadając na jego koszulce. Ku mojemu zdziwieniu było tam dość dużo miejsca. Nagle poczułam jego dłoń na ramieniu.

- Nie bój się, ze mną jesteś bezpieczna - wyszeptał mi do ucha, sprawiając, że moje serce zaczęło bić o wiele za szybko. - Ale cokolwiek usłyszysz, nie wyjdiesz stąd, póki po ciebie nie przyjdę, rozumiesz? Nie wybaczę sobie, jeśli coś ci się stanie.

Rozbroił mnie. Pokiwałam głową w odpowiedzi. Uśmiechnął się i poczułam jego dłonie na policzkach. Jego usta dotknęły mojego czoła.

- Wrócę, obiecuję.

I zniknął, zostawiając mnie ze wspomnieniem jego zapachu. Chwilę później usłyszałam kobiecy krzyk. Jeden, drugi, trzeci, było ich tyle, że straciłam rachubę. Zdawały się dochodzić z każdej strony. A każdy z nich przyprawiał mnie o dreszcze. W powietrzu unosił się dziwnie duszący zapach. Przypominał prażoną kukurydzę.

Zatkałam uszy, ale to nie przyniosło rezultatu. Usłyszałam go. Ten głos rozpoznałabym wszędzie. Wyjrzałam zza ramy lustra.

Pomiędzy żebrami smoka, dookoła ogniska stały trzy kobiety, oczy miały zamknięte, a z ich ust wydobywały się wręcz nieludzkie dźwięki. Otoczony gryzącym dymem, tuż przed ogniem klęczał Adam. Krzyknął, zacisnął pięści i w amoku uderzył głową o podłogę. Jego napięte mięśnie zdawały się lśnić srebrem. Nagle odrzucił głowę do tyłu, a ciałem wstrząsnął dreszcz. Jego skóra błyszczała jak aluminium. Kobiety krzyczały jeszcze głośniejsze.

Schowałam się, nie chcąc dłużej patrzeć na to, co się działo pod smoczym szkieletem. Czekałam, a głosy powoli cichły, światło zaczęło przygasać. W całkowitej ciemności usłyszałam oddalające się kroki. Gdy zapanowała cisza, włączyłam latarkę, podniosłam koszulkę chłopaka i opuściłam moją kryjówkę.

W powietrzu wciąż unosił się zapach popcornu. Poświeciłam dookoła, światło odbiło się od luster, oświetlając ciało leżące między żebrami smoka. Ruszyłam biegiem.

Oddychał, lecz był to oddech nierówny i krótki. Skórę miał rozpaloną. Przyklękłam i ułożyłam sobie jego głowę na kolanach, próbując pojąć, po co wpakował się w coś takiego. Nagle zrozumiałam, skąd znam te kobiety. Szatniarki. Tylko dlaczego odbywają rytuały w znajdującej się pod szkołą jaskini ze szkieletem smoka, kopiąc dookoła prażoną kukurydzą? Nie uwierzyłabym nikomu, gdybym nie widziała tego na własne oczy. Chociaż to miało sens, bo kilka razy w tygodniu było można wyczuć w szkole zapach popcornu. Zdumiewające.

Nagły dotyk rozproszył moje myśli. Adam wpatrywał się we mnie ze słabym uśmiechem. Policzki zapłonęły mi rumieńcem, gdy zdałam sobie sprawę, że bawię się włosami półnagiego chłopaka, z którym pierwszy raz zamieniłam słowa dzisiaj rano. I problem był w tym, że najwyraźniej jestem w nim zakochana. Po uszy. Po raz pierwszy w życiu. A to, że leżymy pod namiotem ze smoczych kości, to zupełnie inna sprawa.

- Przerażasz mnie – wyszeptałam.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej. Chciałam się podnieść i oddać mu bluzę, ale jego dłoń zacisnęła się na moim nadgarstku w niemej prośbie, bym jeszcze przez chwilę siedziała. Nagle zdałam sobie sprawę, że nie wiem, co począć z rękoma. Chyba to zauważył, bo złapał moją dłoń i położył na swojej piersi. Moje serce szaleńczo galopowało, lecz gdy poczułam jego bicie, nagle się uspokoiło.

- Tam przy końcu ogona – odezwał się cicho, z wyraźnym trudem – są schody. Pomogłabyś mi do nich dojść?

Pomogłam mu usiąść, a po chwili wstać. Oparł się na mnie i tak powoli szliśmy – on z ramieniem na mojej szyi, ja podtrzymująca go jedną ręką, a drugą ściskając jego koszulkę i oświetlając drogę. Miał rację, mówiąc, że na końcu szkieletu znajdziemy schody. Powoli zaczęliśmy wspinaczkę, robiąc częste

przerwy. Podczas jednej z nich udało mi się go przekonać, żeby założył ubranie. Problem, żeby nie błędzić wzrokiem po jego ciele, został rozwiązany.

Na szczycie schodów okazało się, że znaleźliśmy się w pomieszczeniu węższym niż szkolne korytarze. Było tam kilka krzeseł i szafek, kuchenka oraz łóżko. Gdy pomagałam mu się na nim ułożyć, drzwi na końcu pomieszczenia otworzyły się.

- Jesteś dziś wcześniej niż zwykle, Adamie – powiedział, wyciągając z szafki jakąś buteleczkę.

Odźwierny? Nie mogłam w to uwierzyć. On będący w zмовie z tamtymi kobietami? Minał mnie i podał Adamowi jakiś fioletowy płyn. Ten wypił go, uśmiechnął się do mnie i oparł głowę na moich kolanach.

- Jesteś Matylda, prawda? Z klasy geograficznej?

- Tak. A pan jest odźwiernym? Pan Edward? Przepraszam, ale muszę się upewnić, bo wie pan, trochę dzisiaj widziałam.

- Tak, chociaż przejąłem po ojcu zamiłowanie do chemii i ziół – potrząsnął buteleczką, którą zabrał Adamowi. – Oficjalnie odźwierny, a nieoficjalnie druid... Mogę spytać, co już wiesz?

- Podejrzewam, że ten tu – wskazałam na śpiącego na moich kolanach blondyna – jest potomkiem smoczycy, której szkielet znajduje się pod szkołą. Szatniarki odbywają jakieś rytuały, żeby utrzymać go w ludzkim ciele... tylko nie wiem, dlaczego to robią i jak to możliwe, że on żyje już tysiące lat, a wygląda na dziewiętnastolatka. I nie mam pojęcia, jaka jest pana w tym rola.

- Bystra jesteś – skomentował. – Te panie odprawiają rytuał trzy razy dziennie. Jestem po to, żeby mu pomóc potem dojść do siebie. To bestia, ziejąca ogniem, która zabiłaby nas wszystkich, by pomścić swoją matkę, ale taka siła nie może się zmarnować, więc jest tu, bo wolimy wykorzystać go w razie zagrożenia... Dzięki jego matce mamy coś, dzięki czemu on nie jest w stanie stąd odejść na dłużej niż kilka godzin. Inaczej potwór będzie zjadał go od wewnątrz... A jego ciało nie ma kilku tysięcy lat. Co trzy lata 1 września przychodzi do mnie chłopak o imieniu Adam. Po prostu gdy przekracza próg szkoły, duch smoka wnika w niego i żyje przez trzy lata. Po tym czasie opuszcza go i znajduje nowe mieszkanie, a ten nieszczęśnik żyje dalej, nie mając żadnych wspomnień z liceum. I jak daleko sięgnę pamięcią, nie zdarzyło się, by nosiciel smoka spotykał się z płcią przeciwną.

- Trzymacie go tutaj wbrew jego woli?! – moje dłonie bezwiednie zacisnęły się w pięści.

- Bierzemy pod uwagę większe dobro – odparł. – Jego gniew i pragnienie zemsty przyniosłoby wiele ofiar. Smoki są długowieczne, lecz nie

nieśmiertelne i mogą przez całe życie żywić urazę. Nikt do końca nie wie, do czego są zdolne... Podobno są w stanie przetrwać śmierć.

- Są inne? Czy poza Adamem są jeszcze inne smoki?

- Słyszałem kiedyś, że jest ich ponad sto na całym świecie. Podobno na Islandii jest kilka i gdzieś w amazońskiej puszczy, lecz to mogą być jedynie plotki.

Oparłam głowę o ścianę i przymknęłam oczy. Miałam już dość tych opowieści. Trzymano go tu pod przymusem. Nie miał wyjścia, nie mógł uciec. Musiał zgadzać się na te rytuały, by żyć. Był niewolnikiem, narzędziem, które trzymano w pogotowiu w razie ataku, który może nigdy nie nadejść. Przesunęłam dłonią po jego włosach i zapragnęłam dla niego wolności. Coś mi mówiło, że wiem, gdzie jej szukać.

Otworzyłam oczy i zobaczyłam, że Adam wpatruje się we mnie. Po raz pierwszy widziałam go tak blisko. Jego oczy były szare z odrobiną błękitu i zieleni, a nawet żółci i brązu. Nigdy takich nie widziałam. Po osiemnastu latach życia zapomniałam, jak się oddycha. Tonęłam w tym spojrzeniu. Rozpadałam się na kawałki. Założył mi kosmyk włosów za ucho, doprowadzając tym jednym gestem moje serce do szaleństwa. „Dam ci wolność” - pomyślałam.

Adam się podniósł. Spojrzałam na zegarek - piąta lekcja lada moment się skończy.

- Wszystko w porządku? – zapytał, obejmując mnie.

- Pytasz o moją reakcję na wiadomość, że jesteś smokiem? Radzę sobie. Za to widziałam ciebie zwijającego się z bólu.

- Idzie się przyzwyczaić – uśmiechnął się, chcąc mnie uspokoić, ale wywołało to zgoła przeciwny skutek. – Idź po swój plecak. Ja tu jeszcze posiedzę, ale ty musisz już iść. Na następnej lekcji mamy jakieś spotkanie w auli, podobno cała szkoła ma tam być. Spotkajmy się tam, zgoda?

Szukał akceptacji i zrozumienia na mojej twarzy. Niechętnie puścił moją dłoń, gdy wstałam.

- Ma być cała szkoła, jak ja cię znajdę?

- Mała – rzucił – to ja cię znajdę.

Jego uśmiech mnie zabijał. Umierałam. Jego wzrok doprowadzał mnie do szaleństwa. Żyłam.

Nie miałam zbyt wiele czasu i nie wiedziałam, co robić. Nie miałam ochoty odtwarzać tego, co widziałam, więc skupiałam się na tym, co poczułam w kantorku u woźnego. To przeczucie, że wiem, co zrobić, jak pomóc mu odnaleźć wolność. Dzwonek znów zatrząsnął murami szkoły, korytarz wypełnił się uczniami, a ja ocknęłam się na ławce pod mozaiką. Sama. Spojrzałam na srebrną płytkę. Widziałam już dzisiaj ten kolor.

W podziemiach szkoły. Skóra Adama lśniła srebrem w czasie rytuału. Odźwierny powiedział, że jest w szkole coś, co nie pozwala chłopakowi wyjść na zbyt długi czas z budynku. Wtedy zrozumiałam, że nie mówił o szkielecie jego matki, tylko o srebrnym trójkącie w mozaice. O smoczej łusce. Nim się zorientowałam, dzwonek zadzwonił ponownie. Odczekałam chwilę, aż korytarze zrobią się puste. Wszyscy poszli do auli. Ja też powinnam tam być. Ale najpierw...

Wyciągnęłam cyrkiel i przysunęłam ławkę pod samą mozaikę. Stałam na niej, a potem na parapecie, żeby być wyżej. Wyciągnęłam rękę i starając się nie stracić równowagi, podważyłam cyrklem wystający kawałek srebra. Odpadł, gdy go dotknęłam i spadł mi prosto na otwartą dłoń. Zeskoczyłam z parapetu, przestawiłam ławkę na miejsce i...

Szkołą wstrząsnął ryk. Mury budynku zadrżały, jakby miały się rozpaść.

A potem nastąpiła głucha cisza.

I krzyki ludzi zbiegających z drugiego piętra. Zobaczyłam odźwiernego, który otwierał drzwi od szkoły, a potem rozbijał jakieś fiolki na podłodze przed wejściem.

Pierwsi uczniowie biegli obok mnie. Ścisnęłam łuskę w dłoni i ruszyłam pod prąd.

Kolejny ryk. Potężniejszy niż poprzedni.

Dotarłam na drugie piętro. Tłum gęstniał. Nie wiem, jakim cudem udało mi się przecisnąć przez drzwi prowadzące do auli. Przycisnęłam się do filara, żeby ludzie nie pociągnęli mnie za sobą. Gdy zrobiło się trochę więcej miejsca, spojrzałam w głąb sali, a tam pośrodku porozrzucanych krzeseł stał on.

Chude, zakończone ostrymi pazurami nogi podtrzymywały masywne, pokryte srebrnymi łuskami cielsko. Stwór odrzucił długą głowę do tyłu i zaryczał, próbując jednocześnie rozłożyć skrzydła. Jego ogon zamiatał podłogę, rzucając wszystko, co stanęło na jego drodze, o ściany. Zaryczał ponownie i przeraziłam się, że sufit polecą nam na głowy.

Nagle jego długa szyja odwróciła się w kierunku uciekających ludzi, głowa pochyliła się, a stwór rozwarł szczęki, ukazując śnieżnobiałe kły. Z paszczy wysunął się rozdwojony język. Z nozdrzy ulatywała chmura dymu. I wtedy zrozumiałam, dlaczego tam na dole ten chłopak był tak gorący. Ten gad za chwilę będzie ziać. Skoczyłam do przodu i uniosłam obie dłonie ku górze.

- NIE!

Smok odwrócił się w moją stronę. Poczułam na sobie świdrujące spojrzenie pionowych źrenic gada i stałam jak zaczarowana. Nie mogłam się poruszyć. Te oczy o tyłu kolorach przyglądały mi się z ciekawością. Fascynowały mnie. Nagle srebrna głowa znalazła się na wysokości mojej głowy. Wyciągnęłam dłoń

i urzeczona dotknęłam smoka. Łuski miał chłodne, jak ta, którą zabrałam z mozaiki.

- Adam, oni nie mają z tym nic wspólnego – wyszeptałam, przesuając łuską po pysku gada. – Adam, wszystko jest w porządku. Znalazłeś mnie. Teraz wróć do mnie. Narobiłeś trochę strachu, wiesz? I bałaganu. Musimy tu posprzątać. Wróć do mnie, Adam. Tu jestem. Jestem...

Nie przestając mówić przesunęłam dłońmi po rogach kończących czaszkę i sunęłam dalej wzdłuż jego szyi i nóg. Na prawym barku brakowało srebrnej łuski, przyłożyłam dłoń do tego miejsca i oparłam głowę o pierś stworzenia. Przymknęłam oczy.

Nagle poczułam obejmujące mnie silne ramiona. Nie otworzyłam oczu, wciąż mówiąc, czekałam jeszcze chwilę.

- Już wystarczy – wyszeptał znajomy głos. – Jestem. Wróciłem, małeńka.

Otworzyłam oczy. Obejmował mnie najprzystojniejszy człowiek, jakiego ta ziemia kiedykolwiek zrodziła. Zniewalający uśmiech, te oczy, których koloru nie byłam nawet w stanie określić i jego blond przydługie, przeczące prawu grawitacji włosy – wszystko to doprowadzało mnie do szaleństwa. Tak po prostu stał przede mną i wtedy zrozumiałam, że nazwanie go facetem czy nawet chłopakiem jest co najmniej niestosowne. On był mężczyzną. Takim prawdziwym. Z krwi i kości.

- Chodź – powiedziałam, łapiąc go za rękę i ciągnąc w stronę wyjścia – pokażę ci miasto.

Minęliśmy zdumionego pana Edwarda z probówkami w rękach. Chwilę później schodziliśmy po schodach pustej szkoły. Gdy byliśmy koło wejścia, Adam zostawił mnie na chwilę, wskoczył do kantorka odźwiernego i zabrał kilka kluczy. Wyszliśmy na ulicę. Odwiedziliśmy kilka kawiarni, sklepów, księgarni, byliśmy w kinie. On mówił niemalże bez przerwy, ale zawsze z sensem, uważnie wysłuchując moich odpowiedzi, anegdot i historii. Zabawiał mnie rozmową tak, że zakochałam się w jego głosie, w tym, jak w kawiarni zabrał mój płaszcz, w jego gestykulacji. W tym, jak po mojej rozmowie z mamą, że zostanę na noc u koleżanki, przeproszał mnie, że ją usłyszał. Był styczeń, a ja nie czułam zimna. Było mi ciepło, wręcz gorąco. Zapadł zmrok, a ja, mając go obok, czułam się po prostu bezpieczna. Jak nigdy wcześniej. Jego obecność wystarczała mi, by przenosić góry, byleby tylko nigdy się to nie zmieniło.

Nim się zorientowałam, wróciliśmy pod szkołę. Nagle Adam wyprzedził mnie, wyciągnął z kieszeni klucz i otworzył drzwi.

- Teraz pozwól, że ja coś ci pokażę – powiedział, przepuszczając mnie.

Poprowadził mnie schodami na najwyższe piętro. Tam znów wydobył z kieszeni klucze i otworzył kratę prowadzącą na strych. Wspięłam się za nim po schodach, ale kiedy chciałam wyciągnąć latarkę, powstrzymał mnie. „Po prostu mi zaufaj” – rozległ się cichy szept w mojej głowie. Wziął mnie za rękę i poprowadził w ciemność. Dostrzegłam jakieś okna u góry, ale nocą nie dawały ani odrobiny światła. Poczułam, że przede mną są stopnie. Krok za krokiem dałam mu się prowadzić. Nagle poczułam zimne powietrze. Byliśmy na dachu.

Adam wodził wzrokiem po niebie. Wielki, srebrny księżyc i miliony gwiazd unosiły się nad naszymi głowami, a miasto w dole cicho szumiało. Nie miałam wątpliwości, co do jednego – on nie należy do tego świata.

- Przemień się. Chcę, byś przybrał swoją prawdziwą postać.
- Nie wiem jak – odparł, zdumiony moją prośbą.
- Wiesz – powiedziałam, podając mu trójkąt. – Tylko postaraj się, proszę, nie hałasować.

Uśmiechnął się i nie spuszczając ze mnie wzroku, cofnął się kilka kroków i przycisnął łuskę do piersi. Na moich oczach urósł, a skóra załśniła żywym srebrem. Szyja i nogi wydłużyły się, ubranie zaczęło znikać. Opadł na cztery nogi, jego barki poszerzały się, głowa wydłużyła, oczy się przemieściły. Nagle, nawet nie zauważyłam kiedy, pojawił się ogon, a z boków wyrosły skrzydła. Rósł w zastraszającym tempie. Przerósł konia, sekundę później był większy od słonia. Zsunął się niżej i zaparł łapami, aby nie spaść. Posypały się dachówki. Niespełna dwie minuty po tym przed moimi oczami stał srebrny smok, o wiele większy niż szkoła. Nagle potężny pysk nachylił się w moim kierunku.

- Boisz się mnie? – ciepły oddech mnie otulił.
- Powinnam?
- Ludzie twierdzą, że jestem potworem.
- A o mnie mówią, że do niczego się nie nadaję.
- Mylą się – odparł, kręcąc głową.
- Też tak sędzę.

Wtedy poczułam, że obejmuje mnie wielka łapa i nagle wylądowałam między srebrnymi skrzydłami. Wsunęłam pod nie nogi i złapałam małe wypustki na jego szyi. „Pokażę ci mój świat” – rozległ się ciepły głos w mojej głowie. Poczułam jak napina mięśnie i jednym machnięciem skrzydeł uniósł nas w stronę księżyca i gwiazd. „Dziś niebo należy do nas, Matyldo”. Skrzydła uderzały miarowo, unosząc nas ponad miastem. Zimny wiatr rozwiewał moje włosy, ale ciepłe ciało pode mną nie dało mi zmarznąć. Powoli rozkoszując się lotem, smok zawrócił i teraz lecieliśmy na wschód, ku Odrze. Gdy Adam rozprostował skrzydła, łącząc niemalże brzegi rzeki, zobaczyłam jego srebrne odbicie w wodzie. Chwilę później wzniósł się wyżej, dużo wyżej,

tak że zobaczyłam księżyc odbijający się w nieruchomej tej nocy tafli Bałtyku. Znow zawrócił i zanurkował. Wyrównał lot gdzieś nad placem Zwycięstwa i zrzucając kilka dachówek, wylądował na szkole.

- Jesteś niesamowity – powiedziałam, zeskakując z jego grzbietu.

- Ty również – odparł głęboki wibrujący głos. – Mogę tu zostać, Matyldo. Mogę przybrać ludzką postać i żyć obok ciebie. Albo zabrać cię stąd, dokąd tylko zechcesz.

- Dlaczego?

- Zakochałem się w tobie.

- Podobno nie jesteś zdolny do ludzkich uczuć.

- Zbyt długo żyłem w ludzkiej skórze, by nie mieć uczuć – smoczy pysk zbliżył się do mnie. - A wierz mi, że ciężko jest nic do ciebie nie czuć.

- Musisz odejść, Adamie. Musisz znaleźć swoje miejsce na tej ziemi. Swój dom.

- Ty jesteś moim domem.

- Naprawdę tego chcesz?

- Nie okłamałbym cię, nawet gdybym umiał.

- Zróbmy tak – powiedziałam, siadając. Smok owinął swoją szyję dookoła mnie, kładąc łeb tuż przed moimi nogami. - Odejdź stąd, znajdź inne istoty podobne do ciebie, znajdź miejsce, gdzie byś chciał żyć. Wróc za rok, jak napiszę maturę. Wtedy będziesz mógł mnie zabrać, dokąd tylko zechcesz. Tylko odezwij się czasami. Daj znać, gdzie jesteś i jak się miewasz. I czy masz zamiar wrócić do kogoś takiego jak ja.

Adam podniósł się, rozłożył skrzydła i okrył nas nimi. Przestałam się bać. Świadomość, że poznałam kogoś takiego jak on dodała mi odwagi.

„Wyciągnij dłoń”. Wykonałam polecenie i poczułam, że upada na nią chłodny trójkąt.

- To moja łuska - uprzedził moje pytanie. - Miej ją zawsze przy sobie. A ja, gdziekolwiek będziesz, odnajdę cię.

Wycofał się. Rozłożył skrzydła i spojrzał na mnie po raz ostatni. „Wrócę, maleńka, wrócę do ciebie. Do domu. Obiecuję”. Adam skłonił się lekko.

Nocne powietrze rozdarł ryk srebrnego smoka. Stwór z gracją odbił się od dachu liceum Janiny Szczerskiej i poszybował na północ.

- Więc mówił, że już nigdy nie powróci? - dopytywał się odzwierny.

- Tak, mimo że mnie kocha, powiedział, że nie chce tu wracać - kłamałam jak z nut.

- On cię nie kocha. Tacy jak on nie są w stanie kochać.

- Zależało mu na mnie.

- Tak, zależało mu na twoim życiu, bo zdobywając ciebie, zdobywał nieśmiertelność. Odszedł, ponieważ zrozumiał, że tak naprawdę ona nie istnieje. Nie ma nieśmiertelności, nigdy jej nie było. To tylko bajka. Tak jak wasz związek.

Uśmiechnęłam się. Przesunęłam dłonią po wisiorku. Srebrna płytka była cudownie chłodna, lśniąca jak on, gdy znikał na rozgwieżdzonym niebie.

- Pan mi nie uwierzy... ale ja wiem - spojrzałam mu prosto w oczy na podkreślenie tych słów. - Właśnie wtedy, w środku nocy, gdy uderzenia jego srebrnych skrzydeł oddalały nas od szkoły, właśnie wtedy... byliśmy nieśmiertelni.